



Zbigniew Matysiak

II część z III

Sygnatura notacji: N0761

Data urodzenia: 26.03.1926 r.

Data nagrania: 07.02.2014 r.

Miejsce nagrania: dom świadka, Lublin, Polska

Prowadząca/y rozmowę: Maciej Żuczkowski, Tomasz Sudół

Czas nagrania: Część I: 83 min, część II: 54 min, część III: 72 min

Format nagrania: video

Język nagrania: polski



TRANSKRYPCJA



INSTYTUT
PAMIĘCI
NARODOWEJ

[00:00:00 POCZĄTEK NAGRANIA]

Zbigniew Matysiak: Bardzo. Wtedy pierwszy raz żeśmy się tak... ja, osobiście spotkaliśmy się z oddziałem i z chłopakami z taką sytuacją. Proszę pana, stanęliśmy w tym gospodarstwie, tam mleka popiliśmy, wszystko to, baba jakiegoś gotowała coś, jedzenie, płaciliśmy, bo było nie do pomyslenia. Wiecie dlaczego? Żeby nie zrażać przeciwko... To jest kłamstwo wierutne. Wiecie, kto może rabować? Najbardziej legalne, bogate, dobre wojsko, które przychodzi do wsi, stacjonuje, gwałci, rabuje, co chce, i idzie, i w życiu w tej wsi już nigdy nie będzie. Rozumiecie? Ale nie, gdzie ja na swoim ściśle określonym terenie działam, to ja mogę u gospodarza, który mnie leczył, jak byłem postrzelony czy chory na przeziębienie czy na płuca... Podstawową chorobą to były zapalenie płuc i gruźlica, panowie. Nie mówię już o tyfusach i innych chorobach. To ja tam, gdzie mnie przyjęli i karmili, to ja im córkę zgwałciłem? Świnie ukradłem, zrabowałem? Konia czy krowę ukradłem, zabrałem? Panowie, myśmy płacili. Świnia kosztowała sto, to myśmy płacili dwieście. Nam były potrzebne pieniądze. I myśmy pieniądze rabowali. Były GS-y, były spółdzielnie, zatrzymany pociąg, w którym, w Brankardzie, jechała poczta i były pieniądze. Rozumie pan? Tu nam pieniądze były potrzebne. Bo myśmy musieli kupować amunicję, myśmy amunicji nie mieli. Przecież to nie było, że my jesteśmy normalnym wojskiem, przychodzę do dołku i mam magazyny z amunicją w nieprzebranej ilości.

Tomasz Sudół: Jasne. Panie Zbigniewie, to wracając do tych Ryk...

Zbigniew Matysiak: No i teraz skończę z tymi Rykami. Ten się goli, reszta się myje, coś tam się wszystko robi, każdy... Przy czym broń bezwzględnie przejrzana po tej drodze, wszystko, przerepetowana, amunicja, wszystko zrobione, przyszykowane. Panowie, przyjeżdża willys. Na willysie siedzi polski oficer w polskim mundurze, porucznik, siedzi przy

nim NKWD-dzista i szofer, proszę pana, żołnierz, żołdat, bo ja na takich małych rangach się nie znam, żołdat siedzi za kierownicą i prawdziwy willys, nie gazik. Gaziki to były rzadko, gdzie, wszystko to były willysy piękne, amerykańskie. I przyjeżdżają, zeskoczył, zsalutował, no chłopaki, co byli jeszcze tak nieporozbierani [] a oni: „Chodu, znajesz ty?”. Ten „Poker”, jak powiedziałem, „Poker” był porucznik z nami wtedy, „Poker” rozebrany, gęba namydlona, mówi: „Kudaś waszka manier?”. A on mówi: „Uszoł”... Bo „Poker” niezłe mówił po rusku. „Uszoł na drewniu”... „drewnia” to wieś chyba jest po rusku. „Uszoł na drewniu.” - „A, i tu nie miel. A u was który tam?”. A on mówi: „On, a kapral”. Machnął, kapral to nie pasuje mu, rozumiesz. No to słuchajcie mnie, my na „stancjut” i stamtąd podobno dwa kilometry, od tego gospodarstwa, biegły tory kolejowe, linia na Warszawę. „I tam naszu - mówi - tam naszu oficjeli. I wy na Warszawę? Na Warszawu. No to haroszo. Priedietka madier - mówi - ze swoim tym zastępcą niech przyjadą do nas”. No to my się jedemy. Ja nie wiem, „Poker” to nie był głupi chłopak, on z Wileńszczyzny pochodził. Wytarł tę gębę, nie wiem, czy ogolona czy nieogolona, nie przygo... I mówi tak: „Chłopaki, po jednym do chałupy, ubierać się, zbroić się, wszystko, wszystko na zad, na furmankę”. I mówi: „Wypieprzamy stąd”. Panie, to nie zgadamy tak, żeby nie wszyscy, wie pan habazaw do furmany, nie, konia zaprzęgać... Bo to jeden koń był przy tej furmance. Ten cały rwetes, panie, leci przez pole, biegiem leci kolejarz. W mundurze kolejarzkim. Kolejarze i za Niemców mieli kolejarzkie mundury. Leci i mówi tak: „Chłopaki, pięciu waszych oficerów pod magazynem na dworcu rozstrzelali”. No i my to wszystko... I bryk w stronę Lublina. Dolecieliśmy tutaj, tędy, na Dęblin, wiedzieliśmy, że tu „Ryś” chodzi. Tędy, tu, rozbiliśmy się na mniejsze grupki i poszliśmy w głębokie podziemie, poszliśmy, do miasta wrócili i zaczęliśmy... W Lublinie dowódcą całym, szefem był „Jemioła”, miejskiej organizacji. I zaczęło się to od tej mojej podróży na Warszawę. Tak samo nie dał się okroczyć „Roman”. Tylko oni podchodzili od południa. A w ogóle „Zqb” i „Cichy” w ogóle nie doszli, gdzieś... Tam przed Warszawą ze dwadzieścia kilometrów już zobaczyli, co się dzieje, i się wycofali, że Ruskie ich przejmują. I dlatego... Panowie, gdyby doszła 27. Wołyńska, gdyby 5. Wileńska, Lubelszczyzna ze swoją ogromną partyzantką, Kielecczyzna z „Ponurym” i tą całą ferajną z Gór Świętokrzyskich, powstanie warszawskie trwałoby dwa tygodnie. Dwa tygodnie. Nie wiem, czy dwa tygodnie, czy w ciągu tygodnia byłoby po Warszawie.

Tomasz Sudół: Panie Zbigniewie, przejdziemy teraz... Powiedzielibyśmy... Bo tam są jeszcze te wątki, które nas interesują, ale byśmy teraz powiedzieli o „Zaporze”, dobrze? O Hieronimie Dekutowskim.

Zbigniew Matysiak: Proszę pana, ja „Zaporę”... Ja dostałem po odbiciu „Pergona” ze szpitala, proszę pana, pierwszą ogromną naganę. Bo jak wpadł „Plumpek” do mnie do szkoły, ja byłem na lekcjach, i krzyczy: „Heńka wzięli”, to ja błyskawicznie zorganizowałem pięciu chłopców. Pięciu chłopców, bo ja taki byłem trochę jakiś, że mi zaufali. Zdobyliśmy chłopaka, mieliśmy z czasów okupacji niemieckiej swojego dorożkarza, który przewoził nam różne rzeczy, nazywał się Wacek Pawelec, jeździł dorożką, bodajże jedenaście czy coś miał numer. Nie pamiętam. I ja go zwołałem, że mamy być na dole, na ulicy Szewskiej, żeśmy się wszyscy w pięciu zebrali. „Oliwę” znaleźli w kawiarni, jak sobie popijał, zresztą pseudonim sam mówi, że był smakosz chłopak. I to wszystko zebraliśmy, i weszliśmy do szpitala. Słynny chirurg w szpitalu Szarytek był, profesor Zakryś, miał coś podniebienie jakoś, tam mówił... No i my wpadliśmy, ja zostałem z porządną armatą w portierni, że wszyscy do szpitala wchodzili, nikt ze szpitala nie wychodził, z portierni i nikt w ogóle po szpitalu nie chodził, kto wszedł, to zostawał w szpitalu, to zostawał w portierni. No i tamtych ludzi posadziłem, no nie miałem żadnych kajdanek, nic, więc na chłopów jest autentyczny, panowie, jeden jedyny moment, którego nas też uczyli robić. Odepnę panu portki, guziki wszystkie oberwę, pasek zabiorę i zostawię pana

z takimi rozpiętymi portkami, siedzącego na ziemi. Żebyś pan nie wiem jaki bojownik był największy japoński, to taki wał. Rozumiesz pan. Pierwsze to pan gacie trzyma, bo panu spadają. I tym wszystkim nie miałem... co ludzi pełno się robi, z osiem osób, portier siedzi, ja tutaj sam, no co, będę ich strzelał, będę ich wybijiał? Zdejmujcie gacie, rozpinajcie portki, obrywaj guziki i siadaj na posadzce, i siedź. No i tak siedzieli. Oni poszli na górę, duże, bo tam sale, te cele były wielkie, szpitalne, po osiem-dziesięć osób w jednej sali, bo to stary szpital z klasztoru Szarytek. No i Heniek leżał, siedem kul w pachwinie prawej miał, jedna kula przebiła rękę, wybiła mu pistolet z ręki, no i leżał. I doktor Zakryś się znalazł: „Co wy robicie?”. A przy nim przy łóżku siedział facet, siedział żołnierz jakiś, bodajże albo z ORMÓ, albo z UB, z „Pepeszą” przy łóżku. No to zawzięli... „Pepeszy” nie zabieraliśmy, bo nie potrzebna nam w tym momencie była. Tylko zamek wzięli. Bo ja na górze nie byłem, ja byłem tylko w portierni. A tam na górę poszedł Oldek Kosowski, poszedł „Oliwa”, a, poszedł „Puma”, Michał Smoliński z Gdańska, no i „Plumpek” ich poprowadził, bo wiedział, gdzie to, malutki. I zleciał, dorożka już czekała przed szpitalem. A Maniuś Suszek zepsuł telefony, że w pół Lublina nie działały. Bo się znał na elektryce, a tam niedaleko była ta... takie na ulicach stały szafki blaszane, w których cała centrala była telefoniczna. To on to umiał tak zepsuć, że... No bośmy się bali, bo, proszę panów, przy szpitalu było, 200 metrów, NKWD. 150 metrów, stała kompania ORMÓ. 300 metrów, stało duże silne powiatowe UB. I my ze środka gniazda os wyjęliśmy chłopaka im, co oni myśleli, że go mają, a chcieli go strasznie żywego. No bo tam radiostacja była u niego w chałupie. I myśmy im, panie... I wściekli się, i zaraz wieczorem dostałem cynk, że jak się to skończy wszystko, to na sucho mi to nie ujdzie, będę miał sąd wojskowy, że bez zawiadomienia dowództwa, bez uzgodnienia z nikim zrobiliśmy taką robotę. No i w przeciągu dwóch dni żaden z was nie ma prawa być w Lublinie. Tak się wściekli, tak oszaleli, że Lublin przewrócą do góry nogami, a nas potapią. No i ja, że byłem związany mocno przez „lkara”, przez „lkara” mocno związany byłem z Nałęczowem, na Nałęczów nie było kontaktu, nie było nic, tylko dostałem namiar na leśniczówkę, to jest w kierunku Kraśnika, na leśniczówkę, oddział porucznika „Romana”. I tam na niego dostałem. No i nie siadałem na dworcu, bo się bałem, bo mądry byłem. Jak oni tak się wściekali, to ktoś mógł powiedzieć, jak wyglądał, a ten tak, a ten owak. Więc na nogach poszedłem za rzekę, za most, a że przez most pociąg jechał pięć na godzinę, to za mostem tam jeszcze 100 metrów, to jeszcze: „bach, bach, bach, bach, bach”. Bo to węgla nie mieli, jeździli na sztachetę i na płotach ze stodoły... Tak, dwie lokomotywy trzy wagony ciągnęły, bo nie miały pociągi mocy, rozumiecie, węgla nie miały. No i wskoczyłem do tego pociągu, tłum ludzi, handlarzy nie handlarek, bo to przecież już wyzwolenie, niedawno to niedawno, pół roku, ale wyzwolenie, więc jedni tam, drudzy stamtąd, trzeci... Wsiadłem, dojechałem do tej leśniczówki, no i tam cynk dostałem, że wysiądę w leśniczówce na stacji i przy lesie mam pójść, 100 metrów przy lesie i po 100 metrach będzie w prawo dróżka w pole, i mam iść w pole, w pole, w pole, i na polu będzie rosta jedna ulęgałka wielka na miedzy, i przy tej ulęgałce mam sobie siąść, a że to był, proszę panów, styczeń... tak, jakoś tak, styczeń, koniec stycznia, ale nie było śniegu, gdzieś takie coś było, a raczej błoto, mokro było, takie ślady po śniegu. Przyszedłem, każą mi siąść pod tą ulęgałką, ja se myślę, pod ulęgałką to wy sobie siadźcie, a ja sobie siadę tam, gdzie ja będę chciał. Wiesz pan, po to, żeby... A ja wiem, kto mi nadał ten namiar? Zobaczą dopiero, kto przyszedł, to się zjawię. Przyszedłem, poszedłem, tak jak w tamtych czasach, to jeszcze na miedzach, a że to zima, ale takie ślady po krzakach były, dlatego były kuropatwy i zające, a teraz nie ma. I pod tymi krzakami siadłem, na tym, tym, i siedzę, czekam. Idzie dwóch nygusów, ciemno już, czarna noc. Wiecie, czwarta godzina to już jest czarna noc w styczniu. Siedzę i gadają: „Ty, ma przyjechać jakiś taki z Lublina, z miasta. Przyjedzie, będziesz czekał”. Czekają, czekają, gadają, widzę, lulki się palą, żarzą się lulki. „Będzie.” - „Nie będzie go. Mówię ci, że go nie będzie”. A ja nie wysiadam, czekam dalej, jak się sprawa rozwija. Czekam dalej. No

widzę, że już ten mówi: „Chodź, cholera, staremu powiemy, że nie było go. No bo go nie było”. Panie, ja nie bardzo fikałem, tę siódmkę miałem, takie małe. Oni wstają, już się... A ja mówię: „Panowie, jestem!”. Wyłazi. „Gdzie żeś taki był?”. A ja mówię: „Siedziałem i czekałem na was.” - „To myśmy już tu dawno byli”. Ja mówię: „Wiedziałem, tylko nie wiedziałem, ilu was będzie.” - „Aha”. Poszliśmy. Stacjonowali wtedy w takiej szkole. A ja wiem? Ze trzy kilometry żeśmy szli. W takiej szkole stacjonowaliśmy. To było pełno narodu, żelaza kupa. Przyszedłem, ja byłem w cywilnej kurtce, w takiej w kratkę. A on, „Roman”, wstaje, taki postawny, w skórze chodził, takiej przedwojennej, pancerniaku. Bo wojsko, pancerniacy, już od podoficerów skóry mieli do kolan czarne, z zamszowym tutaj kołnierzem. On w takiej skórze chodził, z „parabelką”, broni długiej nie nosił, tylko granaty nosił, torbę, oficerkę, mapnik, miał... Tylko wtedy był już bez tego, wszystko to wisiało na krześle. Aha, no skąd ja jestem. No z Lublina, mówię, z „Jemioły”. A on mówi: „A, to »Jemioła« was szkolili”. Ja mówię: „No »Jemioła« szkolili.” - „A, no to tak. Dobra, w porządku. Dajcie mu coś jeść, dajcie mu coś wypić”. No bo oni też się dopiero rozkwaterowali, przyszli zmrokiem. Właściwie się wybierali, bo to dlatego partyzanci nocni. Partyzanci mieli ksywę „nocni” albo cichociemni, z tego powodu, że naszym życiem była noc. Tak jak nietoperze. A w dzień tośmy byli po kwaterach i spaliliśmy, czy po stodołach, czy po brogach, czy po oborach, żeby nie chodzić, żeby nie było ruchów, rozumiecie. Wieś to wystarczy, żebyś przeszedł dzisiaj, za dwie godziny dookoła, trzy, wszystkie wsie wiedzą, że u tych był, u tych, u Stefaniuków był i tam siedział, taki wysoki, blondyn, czarny, rudy... Wszystko ci powiedzą. Rozumiesz. I bez komórek. Wieś.

Tomasz Sudół: W ten sposób trafił pan do Romana Dumy, tak?

Zbigniew Matysiak: Tak.

Tomasz Sudół: I komu on podlegał wówczas?

Zbigniew Matysiak: „Zaporze”. Bezwzględnie „Zaporze”. Tak jak na wałach doszedł... Jak nie doszli w akcji „Burza” na powstanie warszawskie, też się cofnęli, i po drodze, wycofując się w swoje tereny, jego tereny to były tam Janów Lubelski, Kraśnik, tamte okolice, bo on tam był w NSZ-cie, i wracali na swoje, i po drodze spotkali wielką bitwę na wałach. I tam dołączył do tej bitwy po stronie akowców, tam walczył „Zapora”, i wtedy zgłosił swój akces do tego, że on z całym oddziałem... Bo „Zęba” już nie było i „Cichego” już nie było, poszli... nie wiadomo gdzie poszli, spod Warszawy się już nie cofnęli. A wiadomo, że obydwaj poszli, obydwaj potrafili wybyć z Polski, a którądy, to ja nie mam źródeł, nic nie wiem. Z tym że on został tu i po naszej stronie zostało paru... Został „Tarzan”, został „Szatan”... Tylko nie nasz „Szatan”. Bo nasz „Szatan”, ten warszawski, co pod Nałęczowem miał tę bitwę straszną, to inny. Zresztą wiele pseudonimów się powiewało. Było takich „Tygrysów”, nie „Tygrysów”, „Diabłów”, „Iwanów”, to było pełno.

Tomasz Sudół: Jakim dowódcą był „Roman”?

Zbigniew Matysiak: Moim zdaniem to był dowódca cholernie mądry, pierwsze to był już przed wojną, to był chłopak inteligentny, i on był bodajże 1917 rocznik. On miał maturę, on był synem bardzo bogatego młynarza w Potoku. Potok-Stany się ta jego miejscowość nazywała, bo tam bywałem u niego. Brata miał, który był zawodowym plutonowym w żandarmerii polskiej, którego za to, że nie sprzedał „Romana”, jak wpadli gwardziści, to za Niemców, to był

maj 1944 roku, wpadli gwardziści, mnóstwo ludzi wymordowali, wystrzelali tam w okolicach... Bo tamte okolice były lewicowe, mocno lewicowe. I albo lewicowe, albo NSZ-owskie, tam akowców nie było. No i „Roman”, jak zobaczył, że otoczone wszystko, więc u ojca wszystko, a jego młyn był na wielkie koło drewniane, napędowe koło, nie turbina, tylko koło, wiecie, takie, co w wodę i chowa się. I „Roman” w to koło wlaż do środka, złapał się uźbrowania i młyn ojciec puścił, i to koło w wodę i z wody, w wodę... ale chodzi, nie. I oni wpadli, tam wystrzelali ludzi, sąsiadów, innych, w przepotworny sposób mordowali. No i brat na froncie był ciężko ranny i kulą na nogę mocno. Chyba kolano miał bardzo postrzelone, ten żandarm. I przy ojcu w młynie pracowali. Ojca zbili, brata: „Gdzie jest »Roman«?” - „Nie ma, nie wiem, gdzie jest. Jak poszedł parę miesięcy temu, tak go do tej pory nie ma.” - „Nie ma go? To ty powiesz, gdzie on jest”. No i on w wodzie się kręcił, brata zabrali do Potoku Wielkiego, to była tam gmina, duża osada, nie miasteczko, osada duża, no i wzięli go, przywiązali za jakimś słupem, ręce mu związali, tu był słup, położyli na plecach na ziemi, wzięli dwa konie, po orczyku do każdego konia, do każdego orczyka przywiązali nogę i rozerwali go, jak w średniowieczu. W dzisiejszych czasach, nasza kochana Ludowa Armia. Sami humaniści. Jak słuchamy pana Millera i tych innych, to sami humaniści byli. O ich humanizmie mogę ja powiedzieć też.

Tomasz Sudół: „Roman” się, rozumiem, dalej ukrywał i później...

Zbigniew Matysiak: Nie, nie ukrywał się. Poszedł do oddziału od razu. Bo on w ogóle przyleciał do domu do rodziców. Do matki, do sióstr, do wszystkich. A oni wymordowali tę całą okolicę. Całym wielkim rzeźnikiem był taki partyzant, bodajże u tego... taki bardzo znany partyzant, Maks, nie Maks... lewicowy. Ja się w nich nie wczytuję, nie obchodzą mnie. Chociaż dostałem, mam piękną książkę, napisaną przez takiego domorosłego piekarza, ręcznie ołówkiem, później oddrukowana, jest o całej tej zbrodni, o całej tej... Kto został wymordowany, jacy nauczyciele, jacy ludzie, kto, wszyscy, w jaki sposób... W kuźni nie bili, nie mordowali, tylko kładli rękę na kowadło i pięciokilowym młotem obydwie ręce. Dwóch chłopców się zgłosiło do „Cichego” do oddziału, z Łodzi kupili sobie oficerki, kupili sobie dresy kupili spluwki, siódemeczki, i przyjechali chyba do Zakrzówka czy gdzieś. No i chodzą poubierani, aby czapki bez orzełków, no i chodzą, i szukają, do kogo się... A stamtąd „Cień” pochodził. „Co wy tu szukacie? Co wy tu robicie?” - „Ano my do partyzantki tu chcemy”. To już był rok bodajże 1946. „My do partyzantki chcemy”... Czy 1945 rok. „Do partyzantki chcemy.” - „No to dobrze, no to chodźcie do partyzantki”. I zaprowadzili ich do GL-u. „No to macie tu partyzantkę. Ale wy chcieliście do »Cichego«, tak?” - „No tak, do »Cichego«.” - „A, no to pójdziecie do »Cichego«.”. Rozebrali ich do naga, wszystkie mundury, tę broń zabrali, na kowadłach im zmiażdżyli obydwu dłonie, wywieźli do lasu i tak ich zostawili. I rano ich „Cichy” znalazł, żołnierze od „Cichego”, patrol, znaleźli już trupy. Umarli z bólu, z wykrwawienia. No i „Cichy” zrobił im tam zbiórkę, na ramię broń. I wtedy taki straszny NSZ, cały oddział partyzancki, porządny, GL-owski, wystrzelał. A co miał zrobić?

Tomasz Sudół: Dobrze, jeszcze wróćmy do tego... Czy w oddziale „Romana” miał pan jakiś kontakt z „Zaporą”, czy nie?

Zbigniew Matysiak: Raz w życiu widziałem, zupełnie przejazdowo. Jeden, jedyny, w okolicach Borowa, nie pamiętam, wsi, kiedy „Zapora” ze swoją tą grupką przejeżdżał. W życiu nie miałem kontaktu z „Zaporą”, żebym jakieś czy rozkazy, czy coś. Tylko widziałem go, przejeżdżali, nad dwoma podwodami przejeżdżał i on zeskoczył,

z „Romanem” coś pogadali, porozmawiali. Nieduży facet, w saperkach, bodajże wtedy piętnachę miał, bo ja się na broni miał, FN-a piętnastkę miał, w czapce maciejówce był... I coś, tego, tego, coś „Romana” klepnął w ramię, po plecach, on i posalutowali sobie, ten zameldował, co dostał, i żeśmy się rozjechali. Często przyjeżdżał do nas za to... zastępca „Zapory”.

Tomasz Sudół: „Wisła”? Czy „Opal”?

Zbigniew Matysiak: Nie, „Opal”. Jeszcze „Opal” wtedy rządził. No i, panowie, wy chyba wiecie o tym wszystkim, od kiedy pan „Opal” działał?

Tomasz Sudół: Wiemy, że w czasie okupacji miał piękną kartę a później tak no...

Zbigniew Matysiak: No w październiku już został agentem UB. I przeciągnął na swoją stronę jedną z wielkich, bardzo wielkich, działaczek, łączniczek, specjalistkę od telefonów czy telegrafów, nie wiem, w czym tam one działały. W Warszawie na Pradze działała. Taki fajny pseudonim miała. Nie „Kaja”, nie. Taki miała... „Juga”? „Juka”. „Juka” chyba. I ona przeszła też na stronę... I była najbardziej krwawą agentką. Upomniała się od niej, że przestali jej zadania dawać. I tak przeżyła do... I jej nie stuknęli. Tak samo jak i „Opal” przecież, do 1989 roku wysyłał meldunki. Dlatego wiem, jak byliśmy na uroczystości w Tarnobrzegu i ja mu zacząłem... Ja jestem pyskаты i tak jak panom to gadam i opowiadam, i powiedziałem, te takie, nie takie... A, i wyprosiłem: „Co pan tu robi?”. Mówię: „Dla pana takich ludzi jak pan - mówię, tylko per pan - do siły Nowickiego? Że pan tutaj siedzi? I pan wyszedł po studiach z więzienia, a oni leżą nie wiadomo gdzie w piachu? Stało się to na takim wielkim bankiecie, przyjęciu, po tej całej uroczystości”.

Maciej Żuczkowski: W Tarnobrzegu?

Zbigniew Matysiak: „Zaporze”.

Maciej Żuczkowski: W Tarnobrzegu?

Zbigniew Matysiak: - W Tarnobrzegu. I mówi mu... I później żeśmy wracali, i był z nami na tej uroczystości członek organizacji „Zapory”, adwokat, którego córka... „Zapora” ją do chrztu trzymał. Nazywali Basia... Jak on się nazywał? A jej mężem był aktor, Piotr... Patron teatru w Lublinie. Rozeszli się. A on się nazywał... No na końcu języka mam, bo jej nie chcę... Taka łachmyta teraz, pijaczka. To on wtedy był już... I on siedział z „Opalem”, a naprzeciwko nich siedziałem ja, „Gitarka” i „Oliwa”. Z Gdańska przyjechał na tę uroczystość. A, i „Plumpek” koło nas, żył jeszcze wtedy. I ja do niego mówię: „Jakim to prawem takich łachudrów mamy między sobą?”. I ja mówię: „Panowie, jak ja to przeżyłem, co przeżyłem, i to, co wiem, to ja, jak tutaj siedzę z wami, to ja łeb sobie daję uciąć, o tutaj łeb sobie daję uciąć, że tutaj pięciu to są kapusie między nami siedzący”. I „Opal” wtedy mówi tak: „Ty, »Kowboj«, ty przestań politykować i filozofować. Siedzisz na dupie, to siedź cicho, jak ci dobrze”.

Maciej Żuczkowski: A co o samym „Zaporze” się pan... Co się mówiło o samym „Zaporze”?

Zbigniew Matysiak: No że, proszę pana, człowiek najwyższej klasy, jak można o partyzancie, to w tej chwili ja. No jestem trochę chłopak taki na jakimś tam etapie swojej kultury osobistej. Uważam, że to był żołnierz humanista, rozumie pan. On wielu ludzi, których było za gwałty czy za inne, rabunki, rozwalić, to on nie, proszę pana. Na ewidentnych konfidentach mówił: „Nie będziem go... Przyjdzie Polska już niedługo i wtedy za swoje dostanie, za to, co zrobił, to na pewno będzie wisiął. Ale sądy go ocenią”. To były takie „Zapory” słowa. To był przewspaniały człowiek. On dla wszystkich miał ciepło, rozumie pan, on był ciepły. On tych z jego tego bezwzględne sztabu, który miał przy sobie, „Renka”, „Głaza”, „Juranda”, „Żabę”, też wspaniały partyzant, pseudonim „Żaba”, a nazwisko Żelazny, tam pochodził z okolic „Romana”, tam spod Potoku, to, proszę pana, to wszystko to byli jemu oddani na śmierć i życie ludzie. Dlatego z nim poszli.

Maciej Żuczkowski: A cieszył się jakimś autorytetem wśród żołnierzy?

Zbigniew Matysiak: No bezwzględny, tam nie było w ogóle jakiegokolwiek, żeby... Nie, proszę pana, tam nie było... Tylko pierwsze do nich to zdrobniale, co... no ja z nim nie widziałem, ale ci co opowiadali, to tylko był „nasz stary”. A on przecież nie był stary, trzydzieści dwa lata miał. On miał żołnierzy starszych u siebie wiekowo.

Maciej Żuczkowski: A jak się do niego „Roman” odnosił?

Zbigniew Matysiak: No „Roman” w ogóle to był dowódca. „Roman” wychodził z NSZ-u, panie. A NSZ to jest oficer, jak jest kapral, to pod nim jest starszy szeregowy. A wyższy plutonowy. I nie będę ci mówić: „A co ty jesteś dla mnie, kto ty jesteś?”. To nie do pomyślenia, proszę pana. Prawdziwy żołnierz to ma szarżę. Dlatego zwykły kabun to ma starszego szeregowego. I co chce, to może z nim... To jest wojsko. I wtedy to wojsko jest wojskiem prawdziwym. A tak to jest banda. Rozumie pan? Tam, gdzie nie ma oficera, który się cieszy szacunkiem... A do tego musi być mądry, nie wprowadzić żołnierzy na śmierć i życie, pijanych, w dupę, że go furmankami wożą, bo pan dowódca, wolno się mu napić. To jest nie do pomyślenia. W życiu z nim... Przecież byłem rok. W życiu go nie widziałem pijanego. Nikt nie mówi, że w partyzantce wódki nie piliśmy. Pił, dostawaliśmy, każdy do jedzenia dostawał szklankę wódki. Panie, w życiu żaden chłop się nie spije szklanką wódki. Do tego jeszcze, wie pan, jak pan to robi z jedzeniem, a nie, że chodzi z wódką czy pod każdym płótem pije wódkę i z kim się da. Pierwsze, nie do pomyślenia było, żeby ludzie, z którymi żeśmy byli, byli w jakichś stosunkach takich, że po plecach się klepał z gospodarzem, gospodarz się klepał z partyzantem. Partyzant to był partyzant. A były wsie, gdzie nas kochali, i naprawdę kochali, a nie to, że byliśmy, bo rabowaliśmy. Kłamstwo. Tak samo przepotworne kłamstwo, co chcę panu powiedzieć, o, to wracam do tego, co powiedziałem, przerywnik, co wymieniałem tak dokładnie, kto jest czyim dzieckiem. To u mnie w oddziale, u „Romana”... Bo nas nazywali wszędzie „pańskie wojsko”. Ja kiedyś na takim dużym... historii mówionej powiedziałem, obrażało nas „pańskie”. Co to znaczy „pańskie wojsko”? „Pańskie wojsko”, mówię, w moim oddziale. Jeden z nielicznych patroli „Roman” miał, bo nas chodziło między dwudziestu dwóch a trzydziestu ludzi. Bo „Zapora” kategorycznie powiedział, że do dwudziestu to jest góra. Przeważnie to chodzili dwunastu-piętnastu. Łatwo nakarmić, łatwo przejść, łatwo zakwaterować, rozumiecie. Schować czterdziestu ludzi, to jest cała wieś. Na przykład u „Romana” nikt [niezrozumiałe, 00:39:03] że trzy chaty żeśmy kwatery mieli i balanga, bo dziewczyny przychodziły, po dupie

klepane. Nie. Co druga chałupa. Nie mógł być jeden na kwaterze, nie mogło być trzech, tylko dwóch. Żeby tych gospodarzy... Jak, panie, jedno jajko baba miała i ona się chciała z nami dzielić. Dzieci o takie chude, jak żeśmy szli na Zwolen po pieniądze do banku, dostaliśmy namiar, bo byliśmy głodni, bosi i nadzy... Takiego mieliśmy wspaniałego LKM-istę, „Lew” miał pseudonim. I tę swoją sukę „Łwica” nazywał. On „Ł” tak nie wymawiał. I mówi tak do „Romana”... To jak dziś, bo ja zawsze przy „Romanie” taki byłem jego, bo ja się na mapach... Pochodziłem z tej wojskowej, to mapy, sztabówki nosiłem, o taki byłem „Romana” przyboczny. To przychodzi i mówi tak: „Panie komendancie”... Bo do niego „komendancie” mówili. „Panie komendancie, kułwa, »Lew« głodny, to pies go jebał. Ale »Łwica« głodna”. Bo amunicji nie było do niej. I poszliśmy na robotę na Jabłonną. Dostaliśmy cynk, pomimo że teren był „Jadzinka”, z „Jadzinkiem” uzgodnione, że wejdziemy na Jabłonną, bo „Jadzinek” wtedy chodził między Wysokim a tam Gorajem w tym czasie, a tu Jabłonna to blisko Lublina, osiemnaście chyba kilometrów. No ale przyszliliśmy od strony Bychawki, zrobiliśmy mleczarnię, zabraliśmy kupę forsy, zabraliśmy mnóstwo śmietany w baniakach i masła w takich dużych kostkach, wzięliśmy dwie furmanki na podwozy i wycofując się z tej mleczarni, rozdawaliśmy po tej... Bo wieś w tym czasie była bardzo biedna. To jest 1945 rok. Bardzo biedna. Zabierane kulczykowane świny, zastrzelone, świnia... nie było kolczyka, wiecie, na świni, wpadało UB, chłop arestowany. A Jezus kochany. Więc myśmy robili takie różne kombinacje. No to podjeżdżaliśmy i z tej bańki tę śmietanę. Jak te dzieciśka i chłopci, biedne, tośmy rozdzielali tę śmietanę, masło, takie kostki, nie wiem, ile to kilo, dziesięć czy ile, to kroiliśmy takie po kawale, zostawiali i tak żeśmy to wszystko rozdali. No i żeśmy tak doszli pod Bychawę... Nie, nie pod Bychawę doszliśmy, pod Osmolice. I przylatują, takiego bystrego żołnierza mieliśmy, „Pumę”, „Puma”, z Gdyni, Michał Smoliński. A głupio zginął. I przychodzi, i mówi tak: „Panie komendancie, za nami ktoś idzie. Za nami”... Mówi: „Już od Bychawki ktoś się za nami wlecze tymi laskami”. „No to weź, »Puma« - mówi - dwóch chłopaków. Tak zostańcie, żebyście za nimi. I oni za nami, a wy za nimi. I zobaczymy, kto to jest, co to jest”. A on mówi: „Z bronią idą, z PPS-ami”. A on mówi: „Zostańcie”. No i na pewnym kawałku... „Tak jest”, mówi. I coś gadają tak... „No to dawaj ich”. No i, panie, żeśmy ich dawali. Do lasku, zdejmować buty, zdejmować kurtki. „Sosna”, taki był fajny partyzant, mówi: „Portki też, w gaciach, »Roman«, niech zostaną”. A te chłopaki, dawaj, płakać. Autentycznie, młodzi chłopcy byli, tacy do dwudziestu lat. „Panie komendancie, panie komendancie, my od »Żaby«. »Żaba« kazał was śledzić, co my będziemy robili, gdzie my idziemy. Bo to teren pana porucznika »Żaby«, „Żaby”? Ja wam dam „Żaby”. No ale to żartował, i to rozbieranie. Takich chłopaków to byśmy nigdy nie rozwalili. No i to wszyscy. „No to - mówi - jeden zostanie, a ty leć po »Żabę«, „. A on, „Roman”, z „Żabą” byli kolegami, bo to z jednej okolicy pochodzili. Tylko „Żaba” był wspaniały, miał kompanię u „Zapory”, a że był komendantem dworca kolejowego w Niedrzwicy, więc jak te pociągi szły z amunicją, z bronią na front, z frontu wracały, wiecie, on tym wszystkim... przy tych przetokach, nie przetokach, to co raz jakiś wagon zginął pełen amunicji. No i wtedy nam sprzedał około tysiąca sztuk, po trzy skrzynki do suki amunicji i luzem amunicji, no ale forszę, którąśmy wszystko zdobyli, to „Żaba” wziął za amunicję. I my znów gołe nogi, ale za to śpiewające zostaliśmy. No i dostaliśmy cynk, że w Zwoleniu w każdy czwartek bodajże, nie chcę kłamać, w każdy czwartek jest wielki jarmark i po jarmarku... No to znacie panowie to miasteczko między Puławami a Radomiem? I wybraliśmy się, doszliśmy do Olbięcina... Nie do Olbięcina. Do Oblizniaka, Oblizniak się... Tam był nasz gospodarz, Grzegorzcyk. Taki meliniarz, wspaniała melina. I tam oddział żeśmy rozbroili, to znaczy oddział... „Roman” wziął... „Bolek”, następca „Romana”, wziął oddział pod swoją komendę, a że ja znałem dobrze okolicę Natęczowa, więc mu podałem parę cynków do tych chłopaków, co chodzili po... pod tym, wystaliśmy ich, a sami żeśmy się... w buty z cholewami oddaliśmy się wszyscy, przyubraliśmy się w kamasze, tylko że wszyscy w mundurach, ale wszyscy „Pepesze” i ciężką

broń oddaliśmy, tylko broń krótką i PPS-y, więc znacznie zgrabniejsze, zresztą bardziej sprawne od „Pepeszy”. Późniejszej, bo to późniejsza data produkcji. Ale już bardziej nowoczesny automat. No i nie ważył pięć kilo, tylko ważył trzy i pół kilo. I celny był bardzo, no i zgrabny, kolby nie miał, bo to zawijana ta kolba. No i to żeśmy popożyczali od chłopaków, zresztą: pożyczali, „Roman” kazał. Wszyscyśmy się w to uzbroili, każdy musiał mieć minimum pięć granatów, i w pięciu, „Roman” i nas, czterech żołnierzy. I w Kazimierzu jest taka miejscowość rybacka, nazywa się... taka rybacka wieś, i tam byli przewoźnicy. I był Stasio Materek i stary Materek. Nie było połączenia Janowca, bo to jest na wysokości Janowiec-Kazimierz, więc ludzie z Janowca chcieli do Kazimierza czy na targ, czy do miasteczka, to Materek, nazwisko tego przewoźnika i rybaka, syna miał Stanisława, pseudonim „Orzeł”... Mięliśmy się ta wioska nazywa. I, panie, nie spałbym trzy dni, dopóki bym sobie... takiego mam joba na punkcie... jak coś zapomnę i nie mogę przypomnieć. No i przewieźli nas z ojcem do krypo przewieźli nas w pięciu na drugą stronę, do Janowca, no i tam od Janowca do Zwolenia, to jest dość daleko, tośmy to szli półtorej doby, nocami, żeby dniami nie, zapadaliśmy... I tam zobaczyliśmy przepotworną... Wsi nie było, chałup nie było, bo tam Niemcy stacjonowali, jak ten front był na Wiśle. W ziemiankach ludzie mieszkali, dzieci z wrzodami, bida, nędza. No i Stasiak do ojca mówi: „To, ojciec, wracajcie, a ja pójdę z nimi. Bo ja tę stronę lepiej znam, to ja im będę tu pomagał”. I poszedł z nami na tę wyprawę. I tak żeśmy szli, doszliśmy do tego Zwolenia, stanęliśmy w takiej chałupie, posterunki omijaliśmy daleko, bokiem, żeby nikt nie wiedział, że idziemy. A tam było tego wojska, bo to w Radomiu, lotnisko, wiecie, panowie. I stanęliśmy w chałupie, tam zjedliśmy jakieś pierogi z kaszą, no i na drugi dzień mówi: „Panowie, wy siedźcie, wy jesteście nietutejsze, od razu będą wiedzieli, że wy nietutejsze, na tym targu. A tu - mówi - te nasze milicje to mamy tak o”... I poszedł ten chłop. I, panie, leci chłop... Półtorej godziny go nie było. Leci, panie, ozór dotąd. I mówi: „Chłopy, wypieprzajta, ile tylko się... Cały Zwolen: UB i NKWD. Czołg jest, pięć samochodów pancernych. Wojska się najechało, coś mówili, że »Orlik« wyrznął całe Puławy”. A to była ta akcja tej słynnej bitwy, gdzie „Orlik” z UB-owcami i z NKWD w Lesie Stockim, tam pod Puławami, pod Kazimierzem, tę bitwę, i tam dużo tych Ruskich wybili, i wycofując się po bitwie, wycofał się tu, w tę Puszcze Kozienicką, gdzie Kozienice, elektrownia, tam są ogromne puszcze. I „Orlik” się w tę stronę”. I oni się dowiedzieli, i to NKWD, i to wojsko. Dlatego w Zwoleniu taki był ich punkt, że ze Zwolenia na te Kozienice szli, na tę pacyfikację. A w tym czasie, chcę panom powiedzieć, że do nas na akcję tu, na Lubelszczyznę... W Lublinie stały czołgi, pięć czołgów T-34... Kłamię. Trzy czołgi T-34 i pięć samochodów pancernych. Ci, którzy „Szatana” w Natęczowie skończyli. I to była obsada z NKWD. I oni jeździli po pacyfikacji, tak że 1945 rok był bardzo krwawy, ciężki. Z tym że myśmy byli potworną siłą. Ale wojna się skończyła, panowie, dużo wojska zostało wycofanych, frontowych, i te całe nasze okolice. I dlatego od tej pory zaczęliśmy być żołnierz... Tak jak to dziewczyny, zabawy, w stodołach, dziewczyny, panie, prały koszulki, nam wymieniały, chłopcy mieli sympatie po wsiach, po tym chodzili, mnie chcieli żenić, panie, bo byłem chłopak fajny, o tu jest moje zdjęcie, jak byłem w lesie... I zaczęły się te czasy, zaczęli się Żołnierze Wyklęci. To nie to, że nas sprzedawali, tylko siedzieli tak jak ja teraz i se myślę, kiedy wy do jasnej cholery pójdziecie? Rozumiecie, to jest przenośnik, ja w tej chwili żartuję.

Tomasz Sudół: Ale, panie Zbigniewie, zrobimy chwilę przerwy, dobrze?

Zbigniew Matysiak: Kiedy wy pójdziecie? Bo za chwilę przyjdą... jakiś... czy do mojej dziewczuchy, czy do kogoś, czy przyjdzie pocziarz, czy przyjdzie listonosz, czy przyjdzie UB, przyjadą, bo po coś przyjechali, rozumie pan.